

ZOFIA KOMEDOWA TRZCIŃSKA

NIETAKTY

Mój czas, mój jazz



WARSZAWA 2015

Książka dostępna jako e-book

FOTOGRAFIA NA PIERWSZEJ STRONIE OKŁADKI:

KOMEDOWIE W ZAKOPANEM. PRZEŁOM LAT 1958 I 1959.

FOT. WOJCIECH PLEWIŃSKI

FOTOGRAFIA NA SKRZYDEŁKU:

KOMEDOWIE WŚRÓD PUBLICZNOŚCI TEATRU NA TARCZYŃSKIEJ.
WARSZAWA, 1957 ROK.

FOT. IRENA JAROSIŃSKA

FOTOGRAFIA NA TYLNEJ STRONIE OKŁADKI:

KOMEDOWIE W SZTOKHOLMIE. 1963 ROK.

FOT. ARCHIWUM ZOFII KOMEDOWEJ TRZCIŃSKIEJ

Opracowanie tekstu: TOMASZ LACH

Redaktor: DARIUSZ FEDOR

Korekta: GRAŻYNA KWIEK

Projekt okładki: MARTA MICHAŁOWSKA

Skład: ŁUKASZ SULIMOWSKI

© COPYRIGHT BY WYDAWNICTWO SZELEST SP. Z O.O., 2015

© COPYRIGHT BY TOMASZ LACH, 2015

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być wykorzystana w jakikolwiek sposób bez pisemnego zezwolenia właścicieli praw.

WARSZAWA 2015

WYDANIE I

ISBN 978-83-65381-00-2

WYDAWNICTWO SZELEST

www.wydawnictwoszelest.pl

halo@wydawnictwoszelest.pl

SPIS TREŚCI

9

DRYSZCZÓW

Moja ballada

43

KRAKÓW

Szalona dziewczyna

129

WARSZAWA

To albo to

179

W DRODZE

Typowy jazz

223

HOLLYWOOD

Filizanka czarnej kawy

261

KODA

Noc, dzień, requiem

309

Posłowie

Tylko tyle • Tomasz Lach

319

Indeks nazwisk

ZOFIA JANINA TITTENBRUN

Urodzona 13 listopada 1929 roku. Miejsce urodzenia:
Dryszców, obecnie gmina Żmudź, województwo lubelskie.

Matka: Barbara Olkowska, lekarz stomatolog,
służyła w legionach Piłsudskiego, oficer, do 1940 roku
współprowadząca majątek ziemski, 1940-1964 stomatolog.

Ojciec: Stefan Tittenbrun, ziemianin, hodowca,
artysta plastyk, myśliwy...

...albo: „Zośka” i „Harcerka”, łączniczka AK
w ugrupowaniu „Jodła”...

...albo: Zofia Lach, 18-letnia żona Ludwika Lacha
– krakowskiego dżolera, przemytnika, kombinatora.
Moja matka...

...albo: Zofia Komedowa Trzcińska,
żona Krzysztofa Komedy, jego menedżerka,
guru środowiska jazzowego w Polsce...

...albo: właścicielka pensjonatu w Bieszczadach,
współzałożycielka „Solidarności” Rolników Indywidualnych,
inicjatorka pierwszego strajku chłopskiego...

...albo...

– Pierdole, to nie dla mnie! – tak potrafiła skwitować
kolejny rozdział swego życia. I zaczynała nowy.
Bo Zofia Tittenbrun, Lach i Trzcińska, a do tego Komedowa,
nie przegrywała nawet z samą sobą!
Niech więc i sama opowiada.



ZOŚKA W POGODNĄ NIEDZIELĘ NA KRAKOWSKICH BŁONIACH.
WIOSNA 1948 ROKU.

FOT. ARCHIWUM ZOFII KOMEDOWEJ TRZCIŃSKIEJ

KRAKÓW

Szalona dziewczyna

W 1947 roku oślełam. Miało to związek z moją edukacją i z... Krakowem. Gimnazjum, do którego poszłam zaraz po wojnie, ukończyłam w przyśpieszonym tempie. Matka załatwiła mi prywatne korepetycje u kilku profesorów i po półtora roku zdałam eksternistycznie pozostałe, zaległe egzaminy w Kielcach, w gimnazjum pedagogicznym. I wtedy oświadczyłam, że w Jędrzejowie dłużej nie zostanę. Oczywiście, chcę się uczyć dalej, ale w Krakowie, w liceum plastycznym. Matka była przeciwna, bo niby jak? Młoda dziewczyna sama w obcym mieście?! Zaczęło się piekło, nie chciałam ustąpić. Trwało to kilka tygodni, a po jednej z ostrzejszych sprzeczek dostałam wylewu. Oślełam. Niewiele z tego pamiętam. Leżałam w łóżku parę dni, powoli odzyskiwałam wzrok, patrzyłam w sufit i słyszałam rozmowy mamy z bratem: – Histeryczka... udaje... jak nie może płaczem, to krzykiem, a teraz udaje, że oślepa! Na szczęście sprowadzony na konsultacje przez matkę znajomy lekarz powiedział: – Nie martw się, nie rozpaczaj, będziesz w tym Krakowie. Potem zamknął się w jadalni na rozmowę z matką. I matka zgodziła się.

Wzrok powrócił mi po tygodniu czy też dwóch. Wyzdrobiałam! Niestety, było już za późno na liceum plastyczne, ponieważ zapisy odbyły się pod koniec czerwca, a był już sierpień. Ogarnęło mnie przerażenie. Co mam robić?! – myślałam w panice. Pobiegałam do inspektoratu oświaty w Krakowie.

Bardzo miły pan poradził mi, abym zapisała się do liceum krawieckiego, a po pół roku mogę spróbować przenieść się do liceum plastycznego. I tak zrobiłam. Tymczasem trzyletnie liceum krawieckie tak mi się spodobało, że przeszła mi ochota na przeniesienie. To była wspaniała szkoła o przedwojennych tradycjach. Uczono nas kostiumologii, żurnalistyki, historii sztuki, projektowania mody, rysunku itd. Dowiedziałam się nawet, jakie były fryzury w różnych epokach, począwszy od czasów greckich.

Tak więc zostałam, a potem zdałam maturę. Zresztą z dużymi problemami, bo w trzeciej klasie... wyszłam za mąż. Ale o tym wiedziała tylko moja wychowawczyni.

Zostałam potajemnie żoną dżolera. A kto to jest dżoler? I jak do tego ślubu w ogóle doszło?!

No cóż...W domu byłam zawsze trzymana w ryzach. „Pamiętaj! Wolę cię zobaczyć w trumnie niż bez cnoty!” – tymi słowami pożegnała mnie matka, gdy się w końcu zgodziła na mój pobyt w Krakowie. Miałam na wszelki wypadek zamieszkać u zakonnic. Tak też się stało. Zatrzymałam się w bursie u siostr na ulicy Warszawskiej, a po jakimś czasie przeniosłam się do pokoju sublokatorskiego przy ulicy Szlak 59. Potem się okazało, że to dokładnie ten sam dom, w którym mieszkał mój ojciec, gdy studiował w Akademii Sztuk Pięknych. Ale i tam nie zagrzałam miejsca. W liceum poznałam Kikę Matzenauer, młodszą siostrę Mariana Matzenauera, w przyszłości dziennikarza sportowego, i bardzo się z nią zaprzyjaźniłam. Zaproponowała mi, abym zamieszkała z nią oraz jej matką i tym sposobem sama oddałam się dobrowolnie w reżim starszej pani. Nie myślałam o cnocie, czy o wygodzie, ale panicznie bałam się powrotu do Jędrzejowa. Zresztą z Kiką czułam się świetnie, a opieka jej matki wcale nie była dokuczliwa. Mamę jakoś udobruchałam, choć nigdy nie mogłam pojąć, w jaki sposób ta otwarta na świat, niesłuchanie samodzielna kobieta, która tyle razy narażała się zarówno

w wojnie z bolszewikami, jak i z Niemcami, którą stać było na wysłanie mnie nocą, w godzinach policyjnych, do getta w Hrubieszowie, abym sprowadzała znajomych Żydów, która za nic miała życie, gdy chodziło o sprawy wyższe, pozostawała tak konserwatywna w innych kwestiach. Niemniej słowo, jakie jej dałam, że „będę się moralnie i dobrze prowadziła...”, obo wiązywało i słowa tego dotrymałam. Ale... wyszłam za mąż za starszego ode mnie o dziewięć lat pana Ludwika Lacha.

Był dzolerem. Tak nazywano w Krakowie faceta, który wszędzie bywa i bryluje, zawsze ma pieniądze i stać go na ekstrawagancje. Zajmuje się zarobkowo szmugłowaniem ze wsi do miasta mięsa z nielegalnego uboju, przemycaniem z Zachodu ciuchów i innych dóbr konsumpcyjnych, handlem walutami. Oficjalnie – ciężko pracujący obywatel. Naprawdę – cwany miejski kombinator. Owszem, poznałam również uczciwych dzolerów, ale byli zbyt ułożeni, zbyt sobą zachwyceni. Normalni szpanerzy. Młodszy od dzolerów, jeszcze nie kombinatorzy, a raczej uliczni cwaniacy bez doświadczenia, to byli kanoldzi. Po moje koleżanki pod szkołę przychodzili właśnie kanoldzi. A po mnie – prawdziwy dzoler!

Paradował w pięknych, zamszowych półbutach na korkowej podeszwie. Miał kilka garniturów, do każdego odpowiedni kapelusz z szerokim rondem obszytym lamówką, długi, cieniutko zwinięty parasol, szwajcarski zegarek i słoneczne okulary z jasnego pleksiglasu. Jego czeskie pióro kulkowe, czyli długopis, dokładnie obejrzały wszystkie moje nauczycielki, bo to wtedy była rzadkość. Zabierał mnie do Akademickiej na fajfy. Grała tam orkiestra pana Figla i zespół muzyczny Kluczkiewicza, znakomita grupa ze Lwowa. Byłam tą tancerką, która praktycznie nie schodziła z parkietu w czasie jego występów. Tam też spotkałam wielu ciekawych ludzi, wprowadzona zostałam w środowisko studenckie, w wielki świat. To wtedy poznałam Adasia Pawlikowskiego, przyszłego aktora, dziennikarza i autentycznego wirtuoza-samouka gry na okarynie, który po powrocie z Włoch zamieszkał na wiele

lat w Krakowie. Mój narzeczony był przystojny, elokwentny i z dyplomem w kieszeni, więc czy młoda, naiwna dziewczyna mogła nie zakochać się w kimś takim?

Ślub odbył się, gdy tylko skończyłam osiemnaście lat. Wtedy na udzielenie ślubu trzeba było czekać trzy dni, więc trzy dni po urodzinach przekroczyliśmy z panem Lachem próg Urzędu Stanu Cywilnego w Krakowie. Mieliśmy kłopot ze świadkami. Jeden był kolegą pana Lacha, a drugiego po prostu wzięliśmy z ulicy. Potem poszliśmy do restauracji Zdulecznych na Pijarskiej, była wódeczka, śledzik i piwo. Ech, cudowna knajpeczka zasnuta tytoniowym dymem i zagracona starymi, przedwojennymi meblami. Grała nam pianistka z drewnianą nogą, a koncert życzeń odbywał się według takiego rytuału, że zamawiający daną melodię stawiał na pianinie kieliszek wódki dla artystki. Potem pojechaliśmy do teściów. Z największym szacunkiem pocałowałam teściową w rękę, czym, jak czas pokazał, uwiódłam ją na całe życie. Wspaniała, ciepła i dobra kobieta, zawsze świetnie rozumiałyśmy się i przez wiele lat pozostawałyśmy w przyjaźni. Nie miałam zielonego pojęcia, czym jest małżeństwo, więc szczęśliwa, dumna i lekko podchmielona, ale przede wszystkim wolna od kurateli mojej matki, wkraczałam w małżeńskie życie. Po raz kolejny zmieniłam mieszkanie, zażywając szczęśliwości z dochodzącym wieczorami mężem, a w soboty i niedziele przychodziłam do teściów na obiad. Ten kamuflaż był potrzebny, bym mogła kontynuować naukę. Po roku wzięliśmy ślub kościelny, tym razem bardzo uroczysty, na krakowskim Kazimierzu. Było przyjęcie u teściów i narzeczcie pełna akceptacja związku ze strony matki. A miodowy miesiąc spędziliśmy w Zakopanem, gdzie, jak się okazało, mój świeżo poślubiony mąż był znaną postacią. Szczególnie na dancinгах, przy barkach z alkoholami i w kularowych pogaduszkach z tamtejszymi cinkciarzami...

I przyszło rozczarowanie. Pan Lach bowiem, choć miał dyplom inżyniera leśnika, absolutnie nie chciał podjąć pracy w zawodzie. A ja głupia wyobrażałam sobie, że będę

wiodła życie pani leśniczyny. Ciche, w otoczeniu przyrody, psów i koni. Chyba w podświadomości marzyłam o powrocie do wiejskiej, swojskiej scenerii z dzieciństwa. I wtedy za namową mojej matki postanowiłam zaciągnąć go do Poznania. Matka uciekła tam z moim bratem z Jędrzejowa. Tak, tak – uciekła, bo któregoś dnia, kiedy robiła zakupy na bazarze, podszedł do niej i przywitał się uprzejmie, jeszcze raz dziękując za ukrywanie na hrubieszowskim strychu, były oficer Narodowych Sił Zbrojnych. No cóż... Znała reguły, działając aktywnie, przeżyła dwie wojny. Po paru dniach, siedząc wraz ze Stefanem na pace wyładowanej meblami ciężarówki, wyruszyła do Poznania. Kupiła dwa mieszkania: Stefanowi i sobie. I podjęła pracę stomatologa w którymś z tamtejszych ośrodków zdrowia. Uciekała nie po raz ostatni.

Kiedy już przekonałam męża, że Poznań to początek wspaniałego życia (czemu nie bardzo dowierzał, bo przecież – twierdził – gdzie jak gdzie, ale w Poznaniu to raczej pieniądze na ulicy nie leżą), zamieszkaliśmy w niewielkim jednopokojowym mieszkanku, które nam mama kupiła. Chodziło jej przede wszystkim o to, by odciąć mojego męża od starego środowiska, by zacząć normalnie żyć i uczciwie pracować. Już nie jako dzoler, pan Lach poszedł do pracy, wykorzystując swój drugi dyplom – technika budowlanego. Ja natomiast dorabiałam, jak mogłam, szyjąc coś dla Cepelii. Niestety, małżeństwo podupadło. Zabrakło wspaniałych teściów, którzy łagodzili konflikty, zabrakło zrozumienia i wytrwałości, odpowiedzialności i powagi. Mój mąż coraz częściej znikał na całe noce, zaszywając się w knajpach czy karcianych spelunach. A i w burdelach, jak to mi w zaufaniu zaczęły donosić dziewczyny jego nowych poznańskich kumpli. Wracał do swojego szemranego, cwaniackiego środowiska. Jeszcze w Krakowie, na parę miesięcy przed przeprowadzką, wyładował w areszcie śledczym, podejrzany, a właściwie już oskarżony o przemyt i pokątny handel na dużą skalę. Wydobyła go moja mama, płacąc prokuratorowi i oficerom śledczym

stomatologicznym złotem. I teraz, w Poznaniu, zaczął odtwarzać te swoje przestępcze kontakty, wchodząc w miasto. Nie potrafiłam tego zaakceptować, pogodzić się z myślą, że jeszcze rok, dwa... i co dalej? Miałam swoje zasady, ambicję, wiarę w przyszłość i marzenia. Wybuchwały awantury. Gdy mnie pobił – w trzecim miesiącu ciąży! – uciekłam od niego i zamieszkałam w Krakowie, u Kiki Matzenauer. Do Krakowa jechałam na motorze, takim z przyczepą. Prowadził mój krakowski kolega Zbyszek Kuklicz. Była zima. Wpadliśmy w poślizg i wylądowaliśmy w rowie. Poroniłam.

Mama odnalazła mnie i dotąd namawiała, aż zgodziłam się na powrót do Poznania, mając nadzieję, że wszystko jakoś się jednak ułoży. Popełniłam błąd. Nigdy nie zaadaptowałam się w Poznaniu, nie lubiłam i nadal nie lubię tego miasta. Jest, jakie jest, no... poukładane. Ale dla mnie jest „inne”. Rozczarowania rodziły kolejne konflikty, a po kilku następnych miesiącach okazało się, że ponownie jestem w ciąży. Nie uratowało to jednak naszego małżeństwa. Gdy nasz synek, Tomek, miał kilka miesięcy, przegrodziłam mieszkanie szafą i wystąpiłam o rozwód. I tak zbyt późno, ponieważ mojego teoretycznego męża już od dawna nie było w domu, a i w pracy. Natomiast coraz częściej zaczęli pukać do drzwi jego wierzyciele. Gdy Tomek miał siedem miesięcy, spakowałam się i wyjechałam z powrotem do Krakowa. Tomkiem zaopiekowała się moja mama, która niedużo wcześniej, zagrożona zdemaskowaniem i prześladowaniem w związku z jej wojenną współpracą z AK i NSZ, a następnie w latach 1945-1948 z WiN-em, znów uciekła – tym razem do województwa bydgoskiego, do małej kolejarskiej miejscowości Białośliwie. Była kierownikiem Przychodni Zdrowia i stomatologiem. Miała ładne, obszerne kilkupokojowe mieszkanie w poniemieckiej willi z gospożą, a potem i nianią. A ja w Krakowie wystarałam się o pracę w spółdzielni Barwa na ulicy Chodkiewicza, na Grzegórkach. Jako zwykła robotnica, dekoratorka bombek choinkowych. Było ciężko, ale znakomicie płacili, a do tego

nagradzali przeróżnymi dyplomami i medalami. Zawzięłam się i regularnie, miesiąc za miesiącem, wyrabiałam 300 procent normy. Same kobiety tam harowały. Malowałyśmy bombki, siedząc za wielkimi stołami oświetlonymi dziesiątkami silnych lamp, jedynie w majtkach i stanikach, bo nie było wentylacji, a pod nami buchała gorącym dmuchalnia bombek z osiemnastoma potężnymi gazowymi palnikami. Temperatura dochodziła do 40 stopni Celsjusza, panował piekielny zaduch.

Dojeżdżałam do Tomka, który w Białośliwiu miał doskonałe warunki, i nie byłam w stanie zrezygnować z Krakowa, z jego specyficznego, trochę romantycznego, a trochę artystycznego uroku. Wchłaniał mnie, tu oddychałam inną atmosferą, w której odczuwałam odmienność myślenia i życia. Czułam, że należę do tego miasta, że jestem zjednoczona z jego środowiskiem, duszą i klimatem.

Dom Literatów, Krupnicza 22. „Literacki kołchoz” – jak go niektórzy złośliwie nazywali, ponieważ poza biurem, pomieszczeniem klubowym i stołówką z barkiem miał na piętrze pokoje dla rezydujących, przybyłych na jakiś czas, czy też oczekujących na przydziały mieszkań literatów. Tam zaczęłam chodzić na obiady. I powoli budziłam się, jakby z letargu. Zaprzyjaźniłam się z aktorem Leszkiem Herdegenem. Tam widywałam Ludwika Flaszena, intelektualistę, późniejszego najbliższego współpracownika Jerzego Grotowskiego. Był duszą towarzystwa. Stale w dobrym humorze. Wtórował mu grubym, melodyjnym basem Herdegen. Tam poznałam jednego z ówczesnych najzdolniejszych polskich poetów, Tadzia Nowaka, oraz Andrzeja Brauna.

Tadzio, zagłębiany w sobie, skupiony, milczący, zaprosił mnie kiedyś na wieczorny spacer po Plantach. Usiedliśmy na ławce, a on wziął mnie za rękę, popatrzył na moje paznokcie – poplamione farbami do barwienia szkła i zamalowane, aby to ukryć, purpurowym lakierem – pogładził mnie po nich i powiedział cicho, jakby do siebie: – Ziemia obiecana... Dziś

to wiem, ale wtedy nie bardzo rozumiałam, o co mu chodziło.

Braun w 1954 roku powrócił na kilka miesięcy do kraju z Korei Północnej i przyjechał odreagować do Krakowa, gdzie mieszkał w czasie okupacji. Dedykował mi kilka rewolucyjnych wierszy i wręczył spisane odręcznie w notesiku, który podobno otrzymał osobiście od Kim Ir Sena...

I wreszcie poznałam serdecznego przyjaciela Leszka Herdegena, literata, dramaturga i rysownika – jak się z nutką wyższości przedstawiał – Sławka Mrożka. Równie o rok młodszy, traktował mnie z całą powagą, można powiedzieć – z rycerskim honorem, jak swoją damę. Stawał kilkakrotnie w mojej obronie, gdy zaczepiali mnie namolni podrywacze, i zapraszał, z kwiatem w dłoni, na obiad do restauracji lub na tańce. Chociaż prawdę mówiąc... najczęściej to ja, z racji znakomitych, wyrobniczych dochodów, za te przyjemności płaciłam. No cóż, Sławek był urodzonym naturalnym artystą, czego zresztą, mając taką na swój temat opinię, nie ukrywał. On tylko tworzył. Nie znajdując czasami ujścia dla swoich myśli, wyciągał z kieszeni małe, pomięte karteluszeki i rysował na nich przeróżne ludziki. Na przykład prześmieszne krasnoludki, nieraz w bardzo zabawnych sytuacjach, i dopisywał swoim kulfoniastym pismem dialogi. Te banalne, ale radosne i inteligentne rysunekzki szalenie mi się podobały. Kiedyś powiedziałam o tym Marianowi Eilemu, którego znałam ze środowiska tworzącego się krakowskiego klubu jazzowego. Bardzo się zainteresował i tak nawiązała się współpraca. Redaktor Marian Eile – występujący na łamach w zależności od tematyki publikacji a to jako bracia Rojek, a to Krecia Pataczkówna, Lord Makaryn z Cedetu i Martin Nabiałek, czy mgr Kawusia i Mr. Salami Kożerski, genialny twórca i kreator „Przekroju” – natychmiast przygarnął Mrożka, z którego często pokpiwaliśmy. Że drażał taki... Czapla. Często cierpiał na gardło. Mówił bardzo cicho, a bywało, że przez parę dni nie mógł wcale rozmawiać. Porozumiewaliśmy się więc za pomocą specjalnego, wymyślonego na tę okoliczność syku.

Na przykład w restauracji Sławek zamawiał danie z karty i pokazywał palcem, wydając z siebie przeciągły syk. Tssyyy! A więc my, wszyscy pozostali, również syczeliśmy, a potem dalej, przez cały obiad potrafilismy nie zamienić ani słowa. Ale spokój i pozorne opanowanie, samokontrola Sławka nie zawsze skrywały drżące w nim pasje i targające nim emocje. Byłam kiedyś świadkiem niesłychanie ostrej polemiki pomiędzy nim a Leszkiem Herdegenem. Pretekstem stał się występ zespołu muzycznego MM 176, polskiej jazzowej rewelacji tamtych lat. Otóż zaraz po pierwszym, premierowym występie ukazały się dwie recenzje. Jedna entuzjastyczna, napisana przez Herdegena, i druga, bardzo krytyczna, pióra Mrożka. Kłócili się zawzięcie, przebijając argumentami oraz cytatami i wciągali w tę zajadłą dyskusję stół za stolikiem, godzina za godziną całą salę. Aż na koniec, kiedy kierownik lokalu oświadczył zdecydowanym głosem, że kuchnia i barek już definitywnie zamknięte, doszli do wspólnego, nagrodzonego aplauzem sali wniosku: że każdy ma prawo do subiektywnej opinii i nic to z przyjaźnią wspólnego nie ma! Po czym dopili napoje, dopalili papierosy, uścisnęli się, jak przystało najbliższym kumplom, „na misia”, i spokojnie rozeszli się do domów. Nigdy już do tej dyskusji nie wrócili.

Zespół MM 176 – o, tak, należy mu się osobne wspomnienie. Jak oni żywiłowo grali! Mieli w repertuarze swing z elementami amerykańskiej jazzowej klasyki i bebopu. I występowali na normalnych, ogólnodostępnych scenach, nie katakumbowo, czyli w czyichś mieszkaniach czy w zakamufLOWANYCH norach! Na pomysł założenia takiego zespołu wpadł Jurek Borowiec, przyszedł współtwórca powstałego w październiku 1956 roku Krakowskiego Klubu Jazzowego, późniejszego Helikona, i pierwszy jego prezes. Pomysł podchwycili Andrzej „Kuryl” Kurylewicz i Wanda Warska. Udało się dzięki odwilżowym decyzjom Rady Kultury i Sztuki przy Radzie Ministrów PRL. I tak w 1954 roku pod patronatem

krakowskiego Wojewódzkiego Domu Kultury powstał MM 176. Zadebiutował na I Krakowskim Festiwalu Jazzowym zorganizowanym w sali gimnastycznej szkoły podstawowej przy ulicy Królowej Jadwigi. Grali w nim między innymi: Andrzej Kurylewicz – lider – na fortepianie, a czasami również na puzonie, Andrzej Trzaskowski – lider – na fortepianie i akordeonie, Jerzy Borowiec na saksofonie tenorowym, Zbyszek Gadowski na gitarze i puzonie, Juliusz „Julek” Mysiński na perkusji, Feliks Kotarba na wibrafonie i Krzysio „Elik” Przebindowski na kontrabasie, plus nowatorsko swingująca wokale Wanda Warska. Rewelacja! Odnieśli wielki sukces, i był to niewątpliwie pierwszy autentycznie oficjalny debiut jazzu w powojennej Polsce! Lecz tą występującą w MM 176 osobą, którą najcieplej wspominam, byli nie liderzy, „Andrzejowie dwaj”, ale basista. „Elik” Przebindowski. Kiedy wracam pamięcią do tych fantastycznych, radosnych wydarzeń, dostrzegam wyraźnie postać szczupłego młodzieńca o ascetycznej, subtelnej urodzie i smutnych, romantycznych oczach stojącego na estradzie i obejmującego smukłymi palcami gryf kontrabas. Lub spacerującego linią AB po krakowskim Rynku w fantazyjnym berecie i dyplomatce – niezbyt długim, dopasowanym płaszczu z koniecznie podniesionym kołnierzem – oraz z czarnym, cieniutkim, długim parasolem. Energicznie tym parasolem wywijał i spoglądał trochę zaczepnie, a trochę filuternie na boki, na mijających go przechodniów. Nasz „hrabia”, nazywany tak za subtelną urodę, elegancję i lekkie „errr...” w wymowie, a również nasz „żydowski hrabia” za smoliste, romantyczne oczy, w których widoczne były niebagatelna inteligencja oraz zaskakująco filozoficzna zaduma.

Zbyszkowi Gadowskiemu, puzoniście, pozwolono improwizować basem à la Louis Armstrong, a „Elika” dopuszczono do mikrofonu, aby subtelnym głosem śpiewał francuskie romantyczne piosenki. Wiadomo, jak „hrabia”, to na pewno zna ten język znakomicie. A kiedy muzyków MM 176 pytano, czemu grają te jazzowe wygłupy, a nie jakąś normalną, polską,

czy też radziecką lub w ostateczności europejską muzykę, odpowiadali ze stoickim spokojem: – Ta muzyka nie jest ani zgniła, ani też amerykańska, to tylko taki prosty, szwedzki bebop.

– Gdybyś miał nawet sześć żon po kolei, to i tak zawsze będziesz dla mnie takim zasadniczym starym kawalerem przez tę twoją układność i dokładność! – wołałam nieraz do „Elika”. – Wszystko u ciebie musi być jak dwa razy dwa równa się cztery... – dodawałam jeszcze żartem, ponieważ wiedziałam, że miał poczucie humoru i potrafił płatać figle. Takie jak z mechanicznym portierem...

Otóż na początku lat pięćdziesiątych „Elik” wymyślił skomplikowany aparat. Kiedy dzwoniło się do drzwi w czasie jego nieobecności, to słyszało się uprzejmy głos: „Bardzo mi przykro, że nie ma mnie w tej chwili w domu, ale właśnie udałem się na próbę zespołu MM 176”. Było to oczywiście wierutne kłamstwo, ponieważ my, jego koledzy, staliśmy po drugiej stronie drzwi i wiedzieliśmy najlepiej, że w tej chwili próby nie ma. A jak próby nie ma, to „Elik” na pewno jest na randce. Ponieważ ten eteryczny, subtelny i delikatny chłopiec był wielkim uwodzicielem! Pomagały mu w tym jego ogromne sarnie oczy, elegancja i dowcip. A udawał wielkiego świętoszka. Niby taki sympatyczny stary kawaler z parasolem. I złośliwy dowcipniś.

Zgłosił się kiedyś do niego jakiś student z pytaniem, czy może wie, kto chciałby sprzedać magnetofon. Wtedy rzecz prawie nieosiągalną, a do tego wyjątkowo drogą. – Naturalnie, że wiem! – „Elik” rozpromienił się. – Jak to dobrze, że właśnie mnie pan zapytał... Wanda Warska, proszę, oto jej adres, bardzo jej zależy. Potrzebuje pieniędzy, a więc zapewne sprzeda tanio! Tylko proszę iść do niej koniecznie przed siódmą rano, bo później wychodzi do pracy, a wraca późnym wieczorem...

– Eliku, przecież magnetofon jest mi potrzebny do pracy! Skąd ten pomysł, że chcę go jak najprędzej, a do tego tanio sprzedać?! – pytała go kompletnie zdezorientowana Wandzia, żaląc się, że ciągle ktoś ją budzi o świcie pukaniem w drzwi. Po jakimś czasie, kiedy rozeszła się plotka, że „Elik”

wie, gdzie i od kogo można tanio kupić właściwie wszystko, co było na rynku nieosiągalne, posypała się lawina zamówień. Cokolwiek ktoś potrzebował – nylony jasne, nylony ażurowe, lakier perłowy do paznokci, płyty Ellingtona, ustniki i stroiki do saksofonu... Wszystkich tych zainteresowanych zakupami, a właściwie zdobyciem wymarzonych przedmiotów wysyłał do Wandzi Warszawskiej, oczywiście zaznaczając, że trzeba się do niej zgłosić jak najwcześniej rano. Dopiero przeprowadzka z Krakowa do Warszawy uwolniła ją od namolnych nabywców.

A ja wchodziłam w jazz. Poza spotkaniami w Domu Literatów drugą moją pasją, z którą zaczęłam wiązać plany życiowe, stała się muzyka i wszystko, co się z nią łączy. Oczywiście, najbardziej byłam osłuchana z tymi rodzajami muzyki, na jakich uprawianie przyzwalano w czasie lekkiej odwilży pod koniec okresu stalinowskiego. Pominąwszy muzykę poważną, filharmoniczną z wiodącymi prym „natchnionymi kompozycjami radzieckimi”, np. Dymitra Szostakowicza, była to muzyka przeważnie taneczna, z coraz większym udziałem instrumentów charakterystycznych dla jazzu, takich jak trąbki, saksofony, kontrabasy i perkusje. Mówiło się o tym mało, ale można było od czasu do czasu usłyszeć coś w radio, zwłaszcza że praktycznie w każdym z domów, w których mieszkałam, czy też bywałam, wieczorne słuchanie radia było czymś normalnym. Ten, kto miał wystarczająco czuły odbiornik, aby namierzyć i odebrać nadawane z zachodu Europy programy „Voice of America Jazz Hour” Willisa Conovera i Radio Luxembourg, a także rozgłośnie polską Radia Wolna Europa, słuchał i dzielił się nowinkami z najbliższymi oraz z osobami zaufanymi. Wielu z nas nagrywało najlepsze i najciekawsze kawałki na magnetofony. Robił to także Krzysz Komeda – ale jego jeszcze nie znałam.

Jeszcze w Jędrzejowie, umówiona z moim rówieśnikiem, który mieszkał za ścianą, przystawiałam ucho do wiszącego na niej dywanu i słuchałam przysuniętego specjalnie dla mnie

bliżej radia. Nadawano wtedy cykliczną audycję z Krakowa, z nocnego lokalu, gdzie grała wspaniała Orkiestra Taneczna Polskiego Radia pod dyrekcją Kazimierza Turewicza. Niestety, już nie pamiętam, z którego ze słynnych krakowskich „dancingów”, ale wiedziałam z opowiadań mamy, że były trzy: Cyganeria, Feniks i Casanova. Marzyłam, że kiedyś, kiedy będę już dorosła, odwiedzę je wraz z moim wyimaginowanym partnerem i będziemy tańczyć, czule objęci i unoszeni tymi swingami, czy też slow-fokсами do samego rana... Wsłuchiwałam się łapczywie w różne rodzaje muzyki. Czasem był to Gershwin, czasem Glenn Miller, a czasem stare przeboje Henryka Warsa, którego, nawiasem mówiąc, miałam wiele lat potem zaszczyt poznać i się z nim zaprzyjaźnić. Natomiast na początku lat pięćdziesiątych dominowała w radiowych transmisjach – bo to przecież było na żywo – orkiestra Harald’a i debiutująca wokalistka Marysia Koterbska z Katowic. Wspaniała!

Od obowiązującej wówczas „pieśni masowej”, od tych radosnych, optymistycznych śpiewów trójek murarskich, czerwonych tramwajów pędzących przez roześmiane, ukwiecone przodowniczymi czynami ulice i od tych terkoczących dobrymi nowinami łódzkich włókienniczych przodownic oraz napompowanych jak amerykańskie filmowe gwiazdy traktorzystek koszących złociste kłosa i wyrabiających kilkusetprocentowe normy bolały nas uszy. Nie, my na pewno takimi bohaterami partyjnego czynu być nie chcieliśmy! W czasach, kiedy jazz był muzyką ideologicznie zakazaną, naganną tak samo, jak kolorowe ubrania czy też coca-cola, jeansy, wielobarwne, wypuszczane poza obrys spodni koszule, guma do żucia i wykraczające poza ściśle określone obręby socrealizmu sztuki plastyczne, myśmy chcieli wolności. Ale na tę naszą wolność miejsca nie było. Musieliśmy je więc wykreować. I to się nam, o dziwo, udało!

W pierwszej połowie lat pięćdziesiątych jazz traktowany był jak forpoczta zgniłego imperializmu. Bo to nie było nic



ZOŚKA W MIESZKANKU NA KRAKOWSKICH GRZEGÓRZKACH.
SESJA FOTOGRAFICZNA DO „PRZYJACIÓŁKI”. ZIMA 1957 ROKU.

FOT. ARCHIWUM ZOFII KOMEDOWEJ TRZCIŃSKIEJ

radzieckiego, a jak coś nie było radzieckie, to lepiej, żeby tego wcale nie było. Dlatego też, aby istnieć, musiał się ukrywać. Każda samodzielna, swobodna muzyczna fraza, czy też inna artystyczna ekspresja działały jak płachta na byka na tych wszystkich młodzieżowych działaczy, sekretarzy i cały aparat partyjny. Umawialiśmy się więc na spotkania w prywatnych mieszkaniach i tam słuchaliśmy, dyskutowaliśmy, a muzycy ćwiczyli... Były to nasze domowe, katakumbowe jam session. Nasze „dzemy” – jak je nazywaliśmy. Takie sesje organizował między innymi Marian Eile.

Nigdy nie zapomnę, jak ogromne wrażenie wywarł na mnie film „Serenada w dolinie słońca”. Film, który przegapił jakiś cenzor. Po raz pierwszy obejrzałam go, będąc jeszcze uczennicą w szkole średniej. Muzyka Glenna Millera poruszyła we mnie najczulsze struny, było to coś niesamowitego, aż do bólu serca. Podobnie myślało wielu młodych ludzi, przybywało więc miłośników jazzu, a także muzyków, którzy pragnęli odnaleźć się i zrealizować ambicje, grając muzykę jazzową. Jednoczyliśmy się w coraz liczniejszą grupę i w końcu należało coś z tym zrobić. Tym bardziej że zelżała presja i jazz powoli wychodził z ukrycia. Coraz głośniej mówiło się o pierwszych polskich grupach jazzowych.

Wiosną 1955 roku powstała radiowa orkiestra Ryszarda Damrosza pod nazwą Błękitny Jazz, następnie, latem tego samego roku, Warszawska Estrada Jazzowa i radiowe Studio 55. W trakcie zaś odbywającego się w Warszawie Międzynarodowego Festiwalu Młodzieży i Studentów pod patronatem Studia 55 wystąpili kilkakrotnie Melomani z debiutującym pianistą Krzysztofem Trzczańskim oraz Kwintet Andrzeja Kurylewicza, a także zespół Jana Walaska. Kolejny wspaniały sukces i ogromny rozgłos! Profesor Jan Kott, do niedawna nasz nieustraszony pogromca, zawzięty wróg kapitalistycznych kulturalnych nowinek i betonowy stalinowski partyjniak, skomentował te wydarzenia na łamach „Przeglądu Kulturalnego” w następujący sposób:

„Nie można zawrócić kijem płynącego strumienia, egzorcyzmy pomagają tylko tym, którzy wierzą w złego ducha – nikt nie namówi opętanych jazzem, aby śpiewali »Szumią jodły na gór szczycie« i tańczyli krakowiaka. Estrada jazzowa Studio 55 przez tydzień występowała na Wspólnej. Ani jednego wolnego miejsca, tłumy młodzieży i co koncert ta sama fascynacja. Tak napiętej sali nie widziałem od lat ani w teatrze, ani na wieczorach autorskich, ani na koncertach. Było coś ze zbiorowej halucynacji w czasie tych wieczorów”.

A więc... jeżeli nawet tak zagorzały ideowiec akceptuje w końcu nieuchronność nowego, to co? Odwilż!

W tym czasie działało już w Krakowie wielu związanych z jazzem ludzi. Było małżeństwo Skarżyńskich, czyli plastycy Lidia Mintycz i Jerzy Skarżyński, Marian Eile i młodzi Fersterowie. To u nich, w prywatnym mieszkaniu Mariana Ferstera, a raczej jego rodziców, odbywały się w poprzednich latach nasze jazzowe spotkania. Począwszy od 1950 roku zaczęto organizować w tym i jeszcze kilku innych mieszkaniach listopadowe Zaduszki Jazzowe. Dzięki ofiarności i prywatnym pasjom sesje zaduszkowe odbywały się kameralnie, najczęściej w niedziele, w kilkanaście osób. Natomiast kiedy 1 listopada 1954 roku zaistniały scenicznie jako impreza, mogły być prowadzone tylko w tym jednym jedynym świątecznym terminie. A to dlatego, że większość muzyków, zwłaszcza tych starszych, ze stażem zawodowym, była zatrudniona w różnych zespołach i nie dysponowała wolnym czasem. Był to przecież okres, kiedy nie było jeszcze telewizji oraz dyskotek i jak ktoś chciał się zabawić, to szedł na fajfy lub wieczorem na dancing do restauracji. A oni właśnie w tych lokalach grali, zatrudnieni na normalnych etatach. Mało więc było okazji do wspólnego muzykowania, ponieważ w święta, czy też z soboty na niedzielę, gdy normalni ludzie odpoczywali, oni musieli pracować do późna w nocy. Stąd powstały jazzowe Zaduszki. Była to jedyna okazja wyrwania się z pracy na dwa, trzy dni wolnego. Jedynie w Zaduszki lokale

były zamknięte, ponieważ nie było amatorów na tańce. Były to fantastyczne spotkania. Wszyscy podnieceni, złaknieni siebie, a przede wszystkim jazzu, a na tych naszych katakumbowych, jak je nazywaliśmy, spotkaniach było kupę naprawdę dobrej, jazzowej muzyki. I warto było tam się znaleźć.

Pamiętam śmieszne, charakterystyczne dla tego okresu zdarzenie. W czasie pierwszej, czy też drugiej imprezy nagle walenie do drzwi. Otwieramy... milicja. I od razu: – Co to za hałas? Co tu się dzieje?! A ktoś odpowiada spokojnie: – Ależ panowie... my sobie tylko pijemy wódkę. – Aaa – oni na to – to w porządku. Bo nas informowano, że tu grają jakąś muzyką!

Krakowski Jazz Klub powstał mniej więcej w tym czasie. Jako datę rozpoczęcia aktywnego działania można przyjąć rok 1955, choć już wcześniej, w listopadzie 1953 roku, odbywały się pierwsze jazzowe spotkania przy ulicy Królowej Jadwigi. Lecz dopiero latem 1955 roku w prywatnym mieszkaniu zebrało się około dwudziestu zapaleńców z Jackiem Borowcem na czele i tak powstał Krakowski Jazz Klub. Przez parę miesięcy nie było stałego lokalu i dopiero wiosną 1956 roku otrzymaliśmy pomieszczenie. Jacek Borowiec był pierwszym prezesem, sekretarzem – jego żona Krysia, moja serdeczna przyjaciółka, zwana przez nas „Borówką”. Na skarbnika powołaliśmy Jasia Szewczyka, niesłychanie solidnego, całą duszą oddanego sprawie społecznika. Członkami założycielami Jazz Klubu, oprócz wymienionych, byli między innymi: Marian Eile, Lidia Mintycz, Jerzy Skarżyński, Zenek Leszczuk i ja. Było nas zaledwie dziesięć czy też dwanaście osób, a może trochę więcej.

Po niespełna roku, do dziś nie wiem z jakich powodów, Jacek Borowiec zrezygnował z pełnionej funkcji i mnie powołano na jego miejsce. Klub miał siedzibę w piwniczce przy ulicy św. Marka, wilgotnej, zaniedbanej i bardzo ubogiej. Nie mieliśmy ani funduszy, ani wyposażenia, nie mówiąc już o instrumentach, ale było dużo zapału. I wiary w sukces.

Poza tym wszędzie byli dobrzy ludzie, mnóstwo chętnych do współpracy. Niestety, nasz klub wymagał generalnego remontu, a byliśmy biedni jak przysłowiowa mysz. Pomógł nam wtedy Jurek Krzesiwo, który jeszcze jako student był jazzfanem, a po ukończeniu studiów, jak się okazało, pracował jako inżynier w Nowej Hucie i miał związane z tą profesją kontakty. Dzięki jego staraniom wykonano nam generalny remont piwnicy. Położono podłogę, zrobiono ogrzewanie, poprawiono instalację elektryczną i wodną, urządzono sanitariaty. I wtedy zaczęliśmy działać. Już własnym sumptem zrobiliśmy drewniane ławy, które osobiście pomalował Wiesio Dymny, urządziliśmy barek, w którym były kanapki, herbata, kawa i piwo, a dla wtajemniczonych również coś mocniejszego. Postanowiliśmy, że będziemy się samofinansować. Chodziło przede wszystkim o to, aby grający mieli się z czego utrzymać i żeby były pieniądze na prowadzenie klubu. Zaczęliśmy organizować koncerty. Pomagała nam w tym znana aktorka, pani Marta Stebnicka. Rozprowadzała bilety w środowisku krakowskich intelektualistów.

Nie było pomieszczenia, w którym mogłabym załatwiać sprawy administracyjne, a nasz księgowy liczyć swoje rachunki. Całe biuro nosiłam w torebce, a „Borówka” trzymała papiery w domu. Tylko Jaś Szewczyk, poważny taki, dystyngowany i zawsze starannie ubrany, chodził z ogromną, skórzaną teczką jak jakiś ważny dyrektor. Przed południem odbywały się próby. Muzycy przychodzili z własnymi instrumentami, niektórzy pożyczali je sobie nawzajem. Co biedniejsi mieli tylko ustniki do trąbki lub saksofonu. Po południu bywało różnie, jak w typowym klubie. Z początku to nawet grano w brydża, młodzież przychodziła na kawę, toczyły się dyskusje, było to po prostu miejsce spotkań młodzieżowego intelektualnego środowiska. Oczywiście, zazwyczaj mieliśmy kłopoty finansowe, a do tego poważne!

Krakowski Jazz Klub od momentu legalnego powstania w 1955 roku – przedtem istniał nielegalnie, w katakumbach

– był finansowo samowystarczalny. To znaczy nie posiadał patronatu jakiejś instytucji lub organizacji, jak np. Hot-Club Hybrydy, który był częścią składową Międzyuczelnianego Klubu Hybrydy na ulicy Mokotowskiej i był finansowany przez Okręgową Radę Zrzeszenia Studentów Polskich. Otrzymaliśmy co prawda propozycję opieki z Wydziału Kultury Miasta Krakowa, no i oczywiście od Zrzeszenia Studentów, ale my woleliśmy być niezależni. To miało dobre i złe strony. Dobre – ponieważ mogliśmy działać tak, jak to sobie wymyśliliśmy, i grać to, co chcieli grać nasi jazzmani. Bebop, a następnie cool. Złe – bo nikt nam na nic nie dawał pieniędzy, ani na czynsz, ani na remonty, ogrzewanie, elektryczność, zakup podstawowych instrumentów, potrzebnego do twórczej pracy magnetofonu, ani nawet na strojenie rozklekotanego fortepianu. Pierwszym klubowym instrumentem było moje stare pianino z pękniętą płytą przywiezione jeszcze z Jędrzejowa. Przechowywane przez parę lat w piwnicy Kiki Matzenauer, a następnie u mnie na Grzegórkach. Wszystko to – koszty utrzymania lokalu, zaopatrzenie, wynagrodzenia artystów i działaczy – musiało być pokryte z klubowych funduszy wygospodarowanych z naszej działalności. Ale za to... jakaż to była frajda w tych ponurych, socrealistycznych latach nie mieć nad sobą ani pana, ani odgórnego opiekuna. Nikt nie miał prawa żądać od nas uczestnictwa w pochodach pierwszomajowych, organizowania okolicznościowych występów, czy też rocznicowych akademii. Nikt z niczego nie rozliczał i do niczego nie zmuszał. Czuliśmy się, jak na tamte czasy, autentycznie wolni! A pamiętam, niestety, jak płonęłam ze wstydu, kiedy w Warszawie maszerowali, wprawdzie tylko jeden raz, ale jednak, muzycy jazzowi z Hybryd i widziała to cała Polska! My naszą wolność i niezależność wywalczyliśmy sobie sami. Po zarejestrowaniu statutu i rozpoczęciu działalności uzyskaliśmy zgodę na organizację koncertów na terenie województwa krakowskiego. A i na Śląsk udało się nieraz wyskoczyć w tak zwaną w żargonie scenicznym trasę,

czyli cykl koncertów, w zamian za jeden lub dwa darmowe występy dla Estrady Śląskiej, tamtejszego gospodarza terenu.

Lecz nie koncerty, a nawet trasy były podstawą naszego utrzymania. Koszty organizacji, koniecznej reklamy, aparatury nagłaśniającej, hoteli, przejazdów i gaże muzyków, pomimo społecznej pracy przy organizacji tych koncertów, pochłaniały wszystkie zyski. Nie starczało nawet na czynsz, a tym bardziej na jakiegokolwiek, marne nawet, wynagrodzenia dla ciężko pracujących organizatorów. Główną podstawą naszego istnienia były nocne jam session oraz przyjazdy na występy do Krakowa renomowanych zespołów jazzowych. Najpierw tylko polskich, a potem także zagranicznych. Na szczęście „dżemy” oraz koncerty stały się w Krakowie imprezami niezmiernie popularnymi i bardzo snobistycznymi. Każdy szanujący się mieszczanin krakowski, taki przesiadujący w kawiarni Domu Literatów lub w Klubie Dziennikarzy „Pod Gruszką”, czy też kroczący dumnie pod ramię z piękną dziewczyną, musiał choć raz w sezonie być ze swoją damą na takim jam session, bo to się liczyło i o tym się plotkowało w kręgach towarzyskich. Oprócz zysków z biletów dochodziły jeszcze dodatkowe, niebagatelne korzyści z prowadzonego przez nas bufetu z wyszynkiem, a miał on wyjątkowe powodzenie. Zdarzało się, że grubo po północy któryś z nadal w miarę trzeźwych organizatorów musiał drałować po trunki na pobliską „metę”. Takie udane, sprytnie rozreklamowane i zatłoczone jam session zorganizowane sześć, a nawet osiem razy w roku stawiało nasz klub na nogi.

Koncerty, sesje, „dżemy”. Bez przerwy coś organizowałam. Trzeba było biegać do cenzora, bo przecież każdy występ musiał być oceniony, zarówno konferansjerka, jak i muzyka. Ogromne problemy mieliśmy z angielskimi tekstami. Nawet plakaty podlegały cenzurze. Trzeba było samemu załatwiać afisze, ale wcześniej należało wybłagać przydział papieru, który był reglamentowany, biegać po drukarniach, rozprowadzić

bilety, wynająć salę, zorganizować muzyków, nagłośnienie, reflektory. Fundusze zawsze były bardzo skromne. I to był nasz odwieczny problem. Za wszystko płaciliśmy gotówką. Za salę na próby, aparaturę nagłaśniającą, strojenie fortepianu. Na początek często z własnej kieszeni.

Samochód to był nieosiągalny luksus. Jeździło się więc tramwajami, pociągami, najtańszą wtedy trzecią klasą. Tłok, ścisk, ludzie walczą o każdy centymetr miejsca, a tu gość z kontrabasem czy saksofonem, albo jeszcze lepiej – z perkusją w takim niemiłosiernie zatłoczonym pociągu do Łodzi. Cały czas w wielkim strachu, żeby tylko nie uszkodzić. Instrumenty chroniono jak relikwie. Muzycy przyjeżdżali wymęczeni, do byle jakiego najtańszego hotelu, a czasem i na to nie było funduszy. Spało się u znajomych lub jazzfanów na dywanie. Ale potem była radość z udanego występu, entuzjazm publiczności. I to wystarczało. Czasami głodowaliśmy. Pamiętam, jak wspólnie z Trzaskowskimi, gdy byłam już żoną Komedy, zapraszaliśmy się uroczyście na zupę na drugi koniec miasta. A kiedyś roztropnie zabrałam z cudzego domu jabłko. Upatrzyłam je sobie na przyjęciu u Lidii i Jurka Skarzyńskich – olbrzymie, najpiękniejsze. Nadgryzłam, by nikt mi go nie ruszył, a potem, gdy nadarzyła się okazja, schowałam do kieszeni płaszczka i wyniosłam. Następnego dnia zjedliśmy na obiad racuszki. Nie wstydę się tego. Tak po prostu było.

Z czasem nabierałam menedżerskiej wprawy. Praca szła mi coraz lepiej i łatwiej, organizowałam coraz więcej koncertów i różnych imprez. Byłam dobra, coraz lepsza i wiedziałam o tym. Zaczęto zabiegać o mnie. Aż zostałam impresario zespołu Kurylewicza i Wandy Warskiej w 1955 roku. „Kuryla” znałam wcześniej, Warską również. Przyjechała do mnie z Poznania, kiedy nikt jej nie znał i gdy nazywała się jeszcze Małolepsza. Prosiłam ją, by nie brała sobie za pseudonim „Warska”. Adolf Warski był komunistą, członkiem Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików!) – tłumaczyłam jej, ale Wandzia powiedziała, że to dobrze

brzmi przy imieniu Wanda, i że od dawna już postanowiła, że tak będzie się nazywać. No cóż... Nie było rady!

Gdy Wanda przyjechała po raz pierwszy do Krakowa, natychmiast zakochała się w mieście i tak nim zachwyciła, że spytała mnie, czy może u mnie mieszkać. I gnieździłyśmy się razem przez kilka miesięcy w moim malutkim, wilgotnym i zimnym przydziałowym mieszkanku. Na pierwszy występ uszyłam jej sukienkę z czarnej podszewki. Byłyśmy biedne, to fakt, ale to nie oznaczało, że niemodnie ubrane.

Kiedy Kurylewicz z Warszawą zaproponowali mi, bym została ich impresario, zgodziłam się chętnie. Czas pokazał, że nie była to najlepsza decyzja. Choć początek był obiecujący. Wanda miała ciekawe pomysły. Wymyśliła na przykład, aby namówić Lucjana Kydryńskiego do prowadzenia konferansjerki. W tym czasie publiczność była mało wyrobiona i chcieliśmy powiedzieć parę słów o stylu, kompozytorze, a nie jakieś tam dowcipasy, jakie często padały ze sceny, na przykład: – Jaka jest różnica pomiędzy szafą a Rysiem Garbieniem? Żadna. Bo szafa gra i Garbień gra. Zależało nam na czymś profesjonalnym, poważnym. Kydryński był po muzykologii, pisywał interesujące felietony i Wanda dobrze to wymyśliła. Złapałyśmy go w Klubie Dziennikarzy. Siedział elegancki, przystojny. Specjalnie tam poszłyśmy. Gdy powiedziałyśmy mu, z czym przychodzimy, uśmiechnął się i zażenowany odpowiedział: – Ależ, miłe panie... Ja się do tego zupełnie nie nadaję, to nie dla mnie, nigdy o tym nie myślałem. No i popatrzcie... Bodajże dwa lata potem zabłysnął jako znakomity konferansjer, z erudycją, własnym stylem i tym swoim urokliwym „err”. Ale nam odmówił. Marian Eile namówił nas, abym to ja spróbowała poprowadzić konferansjerkę. Co miałam zrobić, zgodziłam się, a potem już były same kłopoty. Nie potrafiłam z Wandą pracować. Nieraz prosiłam Kurylewicza, aby jako kierownik muzyczny zespołu wpłynął na nią, łagodził konflikty... ale skutku to nie odniosło. Relacje między nami psuły się z koncertu na koncert.

– Co ty wygadujesz?! Pewnie stroisz jakieś miny, że ci biją brawo. Nie zapominaj, że to ja tu jestem piosenkarką! W sumie było to dla mnie żenujące, nie do zniesienia. Odeszłam z zespołem razem z „Drażkiem” Kalwińskim, trębaczem, i stworzyliśmy z akurat nigdzie niegrającym kontrabasistą Stasiem Otałęgą nowy zespół jazzu tradycyjnego: Drażek i Pięciu. Nazwę wymyślił Marian Eile. „Drażek” był liderem, a ja byłam kierownikiem organizacyjnym. Tak to wtedy się nazywało, choć mówiłam o sobie, że jestem impresario, a moi muzycy zwracali się do mnie: „szefie”. Nawet w metryce ślubu napisano: Krzysztof Trzciniński, zawód: muzyk – lekarz, a przy mnie – impresario. Nawiasem mówiąc, urzędnicy Urzędu Stanu Cywilnego byli tą nazwą bardzo zdziwieni, po prostu nie rozumieli jej, ale w powadze sytuacji nie chcieli już dyskutować. A wracając do „Drażka”, tym razem nasza współpraca układała się znakomicie. „Drażek” był bardzo koleżeński, a w środowisku jazzmanów jego nazwisko coś znaczyło.

Nikt jednak nie jest wolny od megalomanii, nawet ja... Bodajże w dwa lub trzy miesiące po naszym rozstaniu, w moje imieniny, pukanie do drzwi. Otwieram, a tu stoi cały zespół Kurylewicza i Rysio Garbień na przedzie, przemiły, uroczy kontrabasista, zawsze taki delikatny... Nawet gdy był bardzo zmęczony, nie potrafił być złośliwy czy zgryźliwy. I „Kuryl” z tym swoim wschodnim przyśpiewem, no i Gadomski, którego bardzo lubiłam, oraz Wandzia Warska trzymająca wspaniały bukiet: konwalie, a dookoła sześć malutkich bukietów fiołków. Biele i fiolety, moje ukochane kolory... I tym swoim słodziutkim głosikiem powiada: – Te fiołki to jesteśmy my, naokoło ciebie, a te konwalie to ty. Wróć do nas. Nie opuszczaj nas. I tak uległam. Zaczęłam prowadzić na powrót zespół Kurylewiczów, ale to było już ponad moje siły, i chociaż pozostali moimi bliskimi przyjaciółmi, współpraca niebawem się zakończyła.

Rozpoczynając ponowną współpracę z zespołem Kurylewicza, nie opuściłam Drażka i Pięciu. Ceniłam słowo.

Nie byłam jednak w stanie prowadzić obu zespołów, tym bardziej że w tym czasie pojawił się w moim życiu ktoś najważniejszy... Krzysztof Komeda, wtedy jeszcze Trzcziński.

W czerwcu 1955 roku w naszym Krakowskim Klubie Jazzowym zrodziła się – nie ukrywam, a co – z mojej inicjatywy idea cyklicznych imprez. Miały budować legendę rosnącego w siłę polskiego jazzu, ale też dawać w miarę regularnie jako tako zarobić coraz większej rzeszy reprezentantów tego nadal nowego i nieakceptowanego przez socrealistyczny system nurtu muzyki. Dyrektor ówczesnego Centralnego Przedsiębiorstwa Imprez Artystycznych zapalił się do tego pomysłu i dzięki temu dało się przeforsować koncepcję Turniejów Jazzu. Imprezy odbywały się przede wszystkim w miastach dysponujących salami na kilka tysięcy miejsc, a powodzenie miały z góry zagwarantowane, ponieważ głodna ispragniona jazzu publiczność szturmowała drzwi na wiele godzin przed występem. Nasi jazzmani zaś otrzymali nareszcie szansę na konfrontację z tak szerokim i licznym audytorium.

Kiedy Estrada Krakowska zgodziła się zrobić turniej u siebie, w Krakowie, otrzymałam zlecenie zorganizowania go. W Hali Gwardii w Nowej Hucie! Rany boskie, w Nowej Hucie?! Ale co poradzić! Zawzięłam się i z pomocą przyjaciół oraz współpracowników zorganizowałam! Grały następujące zespoły: występujący w Teatrze Cricot 2 zespół Drażek i Pięciu z Krakowa, grupy Władysława Kowalczyka z Warszawy i Jerzego Grzewińskiego z Poznania, śpiewała Jeanne Johnstone – Angielka, żona pilota, uczestnika Bitwy o Anglię Tadeusza Schielego, a zapowiadał Leszek Herdegen. Sławny kwintet Andrzeja Kurylewicza z Wandą Warszawską wystąpił co prawda tylko w nocnym „dżemie”, ale też był! A ja przy stoliku w modnej restauracji i kawiarni Warszawianka przy ulicy Basztowej zarządzałam, ordynowałam, rozliczałam wpływy i koszty, wypisywałam karty uczestnictwa, wypłacałam zaliczki, uzgadniałam terminy występów i repertuary, kierowałam na adresy zakwaterowań i...

...i poznałam Komedę. To było wczesnym popołudniem 8 czerwca 1956 roku. Był niewysokim, szczupłym blond złościwym rudzielcem. Rozbujaniem potężnych ramion maskował niedowład prawej nogi. Swingował na fortepianie w zespole Grzewińskiego. A do tego był laryngologiem. Pan doktor Krzysztof Trzciński. Komedą. Mój przyszły mąż.

Natychmiast, nawet nie czekając na to, czy ja, szefowa tego wydarzenia, mam coś do powiedzenia, Krzysztof zapytał: – Gdzie mógłbym przećwiczyć coś na fortepianie? W ostateczności na pianinie? Teraz?! Wokoło tłok i harmider jak w pociągu, ja przy tym moim zawalonym papierzykami kawiarnianym stoliku, ciągle ktoś wchodzi, taszcząc bagaże i instrumenty, ciągle ktoś o coś pyta, wszystko ważne, w pośpiechu! A on... w ostateczności pianino?! No cóż. Wręczyłam mu zapisany na karteczce adres noclegu, wypłaciłam zaliczkę i skierowałam do Jazz Klubu, gdzie dyżurował Jurek Borowiec i gdzie stało to moje pianino, które stroiło jak tramwaj jadący nocą przez Nową Hutę. Śmiałam się pod nosem, wyobrażając sobie, jaką zrobi minę, kiedy zacznie na nim grać.

Już po konkursowych występach, późnym wieczorem, kiedy grał na jam session, nagle, jakoś tak irracjonalnie, poczułam pragnienie, aby przy mnie był, rozmawiał ze mną, pozostał... Wymknęliśmy się z zatłoczonej sali z ukrytą w mojej przepastnej torbie butelką wina i poszliśmy przez mroczne i puste, gruchające przysypiającymi gołębiami ulice pod Wawel, na skarpę. Tam oparci o mur, wpatrzeni w migoczącą w świetle księżycy Wisłę, a potem we wschód słońca, przegadaliśmy parę godzin. Krzysztof opowiadał o miłości do jazzu, o fascynacjach Modern Jazz Quartetem, Gillespiem, Davisem, Garnerem. O próbach, jakie odbywali w jednej z poznańskich świetlic, i o tym, jak ktoś zawsze musiał czuć, kiedy grają, i pilnować, by nikt ich nie nakrył, ponieważ ta znajdująca się w jakiejś instytucji świetlica ze stojącym w niej fortepianem była wynajmowana od przekupionego nocnego stróża.

Tej nocy zwierzył mi się ze swojego rozdarcia pomiędzy medycyną a muzyką. Ambicją jego rodziców było, aby studiował medycynę, podczas gdy on marzył tylko o jednym... Chciał być jazzowym pianistą. To był jego osobisty dramat i dylemat do rozstrzygnięcia. Wiedział już wcześniej, że aby studiować z sukcesami, musi rozstać się z jazzem, który był dla niego wszystkim! Opowiedział mi wtedy, jak będąc na studiach w Poznaniu był tak spragniony muzyki, że gdy chodził w niedziele na poranki filharmoniczne, to słuchając koncertu, płakał. A teraz jest już ponad rok praktykującym laryngologiem, pracuje w poznańskiej klinice i przygotowuje się do poddyplomowych studiów, ale nadal stara się, kiedy tylko może, grać jazz. Ale już nie bebop, a raczej modern jazz, znacznie bardziej skomplikowany i zaawansowany technicznie. I tutaj napotyka następny problem, ponieważ gra w swojej opinii nieudolnie technicznie, kiepsko, a do tego uważa, że nie czyni postępów. Na szczęście znalazło się jeszcze kilku takich fanatyków, i tworzą wspólnie zespół. Wymienił Wróblewskiego, Miliana i Zylbera. Będą się nazywali Sekstet Komedy, ponieważ ma zamiar przyjąć taki pseudonim. Gdy mówił o tym wszystkim, emanowała z niego niesłychana pasja, ogromna namiętność świadomego artysty. Uwiódł mnie, uniósł gdzieś tam w niebo, ponad Wawel, Wisłę i miasto swoimi marzeniami. Biernie poddawałam się jego osobowości. Po paru godzinach rozmowy wiedziałam, że rodzi się pomiędzy nami coś głębszego, coś, co być może połączy nas na całe życie. I... nie myliłam się! Pomimo różnych burz, przez które przechodziło nasze małżeństwo, zawsze trzymaliśmy się razem, ponieważ wiedziałam, a i Krzysztof wiedział, że zawsze możemy na siebie liczyć. A po tej przesiedzianej na wawelskiej skarpie i przegadanej do świtu nocy... no cóż, musiałam wracać do domu. Było już widno.

Spałam wtedy u mojej przyjaciółki Niny Furmanowej, ponieważ w moim malutkim mieszkanku na Grzegórkach zakwaterowałam kilku muzyków. Zaczynał się drugi dzień

koncertów połączony z wyborem laureatów, w związku z czym o dziesiątej rano powinnam być już w pracy. A więc kąpiel, nowy makijaż i sukienka, śniadanie w biegu, teczka z dokumentami na ramię i w drogę. Jazz czeka. Ale... Krzysztof odwiedził mnie tego poranka. Lekko podchmielony przyszedł wraz ze Stasiem Otałęgą i dopóty nucili pod oknem, strasznie fałszując, zachrypniętymi dwugłosami standardy jazzowe, dopóki nie wpuściłam ich do mieszkania i chcąc nie chcąc zaprosiłam na śniadanie. Napędzili mi tą niespodziewaną wizytą strachu, bo przecież nie mieszkałam u siebie, a do tego dopiero zaczynał się niedzielny, budzący się do życia miejski poranek. Ale przecież już na Wawelu obiecałam Krzysiu, że będę mu pomagała w pracach organizacyjnych przy tworzeniu zespołu i w pierwszych promocyjnych koncertach. Oczywiście za darmo, wyłącznie dla dobra polskiego – wtedy chyba po raz pierwszy użyliśmy w rozmowie tego określenia – jazzu. Więc skoro świt przyszedli to potwierdzić. Był jeszcze jeden powód ich wizyty. Poprzedniego wieczora Staś Otałęga poznał towarzyszącą mi Ninę Furmanową, niezwykle piękną, wytworną dziewczynę i natychmiast się w niej zakochał, mimo że był od niej o parę lat młodszy.

Znałam wielu mężczyzn, wielu artystów. Osobowości nietuzinkowych, dynamicznych, wciągających w swoją orbitę. Lecz Krzysztof górował nad nimi jedną wyjątkową, niepospolitą cechą. Był nie tylko wrażliwym, utalentowanym artystą, ale także delikatnym, subtelnym i mądrym człowiekiem. Z natury małomówny i opanowany, nie wykazywał pazerności w chęci robienia kariery, wręcz nie dbał o nią, chociaż przecież wierzył, że urodził się dla muzyki. Ta pokora ducha połączona z wielką twórczą pasją, czasami wręcz do znudzenia pedantyczną dokładnością i rzetelnością w traktowaniu spraw zawodowych sprawiła, że ujmował mnie swoim niepowtarzalnym urokiem.

Kiedy poszliśmy na nasz pierwszy spacer, na Wawel, i gdy oparci o kamienny mur patrzyliśmy na oświetlony promieniami księżycy nurt Wisły, tkwiły we mnie jeszcze ciernie mojego nieudanego małżeństwa. Ale wtedy poczułam, że Krzyś wrywa mnie ze szponów mojej samotności, że wyciąga z tej ponurej krainy. A sam otwierał się przede mną coraz bardziej, był ufny i szczery. Opowiadał o dzieciństwie i wczesnej młodości, o rodzinie i matce. Bardzo ją kochał i wiele jej zawdzięczał. Sama uzdolniona muzycznie, szybko odkryła, że jej syn ma wybitny talent i już od czwartego roku życia Krzysio pobierał prywatne lekcje gry na fortepianie. W wieku siedmiu lat dostał się do poznańskiego konserwatorium. W zbiorze pamiętek po Krzysiu są dwa indeksy: Krzysztof Trzcziński, absolwent wydziału medycznego – poważny, w okularach. A w indeksie uczelni muzycznej taki mały, przestraszony chłopczyk i jego podpis – koślawymi, małymi literkami. Pewnie mu jeszcze prowadzili dłoń.

W chwili wybuchu wojny ojciec Krzysztofa był wyższym urzędnikiem bankowym, miał piękne, luksusowe mieszkanie w centrum Poznania. Matka, mądra i zaradna kobieta, przewidując, że Niemcy zechcą wykwaterować ich w pierwszej kolejności, wywiozła cały ruchomy majątek do rodziny w Częstochowie. Pociągami, w przepastnych walizkach, które dźwigała sama. Wozila srebra, porcelanę i obrazy, ubrania, a nawet bieliznę pościelową. A na koniec sami uciekli. W Częstochowie, gdzie spędzili całą okupację, matka załatwiła Krzysiu przepustkę na teren getta i tam kontynuował naukę, pobierając prywatne lekcje muzyki u swojej byłej nauczycielki z konserwatorium. Jak głęboko musiała wierzyć w talent syna, by podjąć tak wielkie ryzyko! Ale dzięki temu Krzysio nie przerwał nauki. Z tamtego okresu pochodzi jego pseudonim artystyczny. Jako chłopiec często bawił się z rówieśnikami w wojnę, i oczywiście chciał być komendantem. Miał własny sztab w jakiejś opuszczonej drewnianej budzie stojącej w narożniku podwórka. I tam napisał kredą na drzwiach: „KOMEDA”

opuszczając, a może to koledzy starli dla żartu, ogonek w literze „Ę”. Od tej pory nazywali go „Komedą”. I to właśnie wspomnienie z dzieciństwa okazało się tak silne, że po latach wziął „Komedę” za pseudonim artystyczny. To najlepszy dowód na wyjątkowo silną wolę Krzysztofa: przyjąć jako artystyczne nazwisko słowo, które w żadnym z języków świata, poza japońskim, nic nie znaczy, a przez lata było używane przeciwko niemu, jako oręż w kpinach kolegów z podwórka. Krzysio zamienił słabość w siłę. Był swej mocy pewien! A dlaczego konieczny był pseudonim? Rok 1956, komunizm, zamordyzm, i oto pojawia się grający nocami „ten jazz”, a w dzień pracujący w klinice lekarz laryngolog?! Takiemu to i teraz nie byłoby łatwo.

I jeszcze jedno koszmarne wspomnienie z początku wojny. Przejmujące, rzutujące na całe jego przyszłe życie. Wtedy, w Krakowie, opowiedział, ale potem już z nikim tą historią się nie dzielił, a i ja starałam się, aby nawet przez przypadek do niej nie wracać. W czerwcu 1939 roku, w czasie wakacji nad morzem, Krzysztof zachorował na chorobę Heinego-Medina. Szybko ją zdiagnozowano i wydawało się – zatrzymano, z wyjątkiem lekkiego porażenia prawej łydki. Kilka miesięcy później, tuż po wkroczeniu wojsk niemieckich, jeszcze w trakcie kampanii wrześniowej, Krzysio wraz z matką i siostrą Ireną jechał z kolejnym transportem walizek pociągiem z Poznania do Częstochowy. Od kilku dni czuł się źle, coraz gorzej. Wszyscy myśleli, że to przeziębienie, a może początki grypy, czy też anginy. W Kutnie zaczął umierać. Okazało się, że był to nawrót choroby! Bardzo wysoka gorączka, drgawki, utraty przytomności. Matka, Zenobia Trzczińska, wspaniała, odważna kobieta, zaczęła go ratować, tak jak potrafiła. Cucić, poić... Szukać lekarza. I wtedy rozpoczęło się bombardowanie dworca. Powietrzne, czy też naziemne, tego nikt nie pamięta. Straszne! Ludzie uciekali z trzęsących się, pękających budynków i chowali pod kolejowymi wagonami. Matka Krzysia wraz z dziećmi również. Nie wiedząc, jak mu pomóc, lecz pamiętając, że jak gorączka, to powinno się schłodzić, owinęła całego mokrym,

zimnym prześcieradłem. Gdzie je zdobyła, tego sama nie mogła sobie przypomnieć. I syna uratowała. Zwolniła i osłabiła, a może nawet siłą swojej woli i miłości zatrzymała chorobę stokroć silniejszą niż grypa czy angina. Chorobę, z której bolesnym śladem – słabszą i krótszą o kilka centymetrów nogą – Krzysio zmagał się, godził i wygrywał przez resztę życia.

Po zakończeniu wojny ojciec Krzysztofa został delegowany na Ziemię Odzyskaną, do Wałbrzycha, aby organizować bankowość, a następnie do Ostrowa Wielkopolskiego, gdzie Krzysio zdał maturę i skąd dojeżdżał przez dwa lata na studia medyczne do Poznania. I to właśnie pobyt w Ostrowie Wielkopolskim wywarł dominujący wpływ na jego dorosłe życie. Tu godził naukę w miejscowym liceum z lekcjami gry na fortepianie. Szybko dał się poznać jako utalentowany muzyk, toteż nie było takiej akademii czy innej uroczystości, podczas której by nie występował. Grywał również, wraz z założonym przez siebie szkolnym zespołem Karioka, na koncertach organizowanych w innych miejscowościach powiatu ostrowskiego. Niestety, pasje muzyczne kolidowały z tokiem nauki. Krzysztof był wybitnie trójkowym uczniem i powtarzał klasę maturalną, ale maturę zdał. Opowiadał mi, że w środy i piątki regularnie spóźniał się na pierwszą lekcję, ponieważ w tym czasie, od 7.45 do 8.00, Polskie Radio nadawało z Katowic kwadrans melodii tanecznych w wykonaniu orkiestry Jerzego Haralda. I to w Ostrowie Wielkopolskim Krzysio Trzcziński odkrył jazz, a właściwie to jego odkrył dla jazzu absolwent tego samego liceum, starszy od Krzysia, mieszkający już w Krakowie Witold Kujawski.

Otóż Witek przypadkowo przechodził ulicą pod oknami budynku banku, w którym mieszkała rodzina Trzczińskich. Było ciepłe popołudnie, otwarte okna. Krzysztof ćwiczył na pianinie, grając jakiegoś mazurka Chopina. Witek przystanął zaintrygowany... i nagle powtarzana raz za razem chopinowska wprawka przerodziła się płynnie w swingującą wariację. Tak go to zaciekawiło, że nie był w stanie oprzeć się pokusie

i zapukał do drzwi obcego mieszkania, przedstawiając się i prosząc o rozmowę z pianistą. Zobaczył siedzącego przy pianinie niewysokiego, szczupłego siedemnastolatka ze zmierzwioną, falującą rudobrazową czupryną. – Stary, a co ty grasz?... – zapytał. – Ćwiczę Chopina... – odpowiedział Krzysio. – A reszta? – dopytał Witek. – Ach, to tylko takie moje wariacje – usłyszał w odpowiedzi. – Stary, przecież to jest normalny jazz, improwizujesz i swingujesz! – Witek nie mógł uwierzyć, że chłopak nie wie, co gra. W ten sposób, sam będąc muzykiem jazzowym, odkrył bratnią duszę, przysłego Komedę.

Wkrótce doszło do zainicjowania prywatnego klubu muzyki i poezji. W mieszkaniu szkolnego kolegi, Janka Winkowskiego, spotykali się: Krzysztof Trzciński, Władysław Idzior, Kazimierz Radowicz, Andrzej Orłowski i Ziemowit Podejma oraz sporadycznie, podczas wyjątkowych okazji, inni koledzy. Podczas częstych, prawie codziennych zebrań słuchali muzyki z nielicznych dostępnych, czy też pożyczonych w Krakowie przez Witka Kujawskiego płyt oraz nadawanych przez Radio Wolna Europa i Głos Ameryki popularnych audycji jazzowych.

Witek Kujawski grał na kontrabasie z Melomanami. Później, na przemian z Andrzejem Trzaskowskim, Krzysio również grał z Melomanami. Ale wtedy, gdy poznaliśmy się, jego największym marzeniem było stworzenie własnego zespołu i granie na fortepianie. Po zaledwie dwóch miesiącach zagrał ze swoim Sekstetem na pierwszym Festiwalu Jazzowym w Sopocie, wykonując między innymi napisaną wspólnie z wibrafonistą Jurkiem Milianem kompozycję „Memory of Bach”. Ale wtedy jego talent tkwił jeszcze głęboko w nim skryty. Ja także tego nie przeczuwałam. Patrzyłam na niego, na tego młodego człowieka, i wiedziałam, że ofiarowuje mi coś niesłychanie intymnego, że to, o czym mi opowiada, jest mi znane i bliskie. I on sam stawał się mi coraz bliższy.

Tak szybko dojrzewaliśmy... Miałam tylko dwadzieścia siedem lat, a zdążyłam już być obszarniczką i dziedziczką, łączniczką z AK, rozwódką z dzieckiem i z solidną traumą,

wyrabiającą 300 procent normy robotnicą, a po roku pracy również projektantką w wytwórni bombek choinkowych, współtwórcą i prezesem krakowskiego Jazz Klubu, a także wyjątkowo skutecznym menedżerem dwóch zespołów jazzowych: zespołu Andrzeja Kurylewicza i Wandy Warszawskiej oraz grupy Drażek i Pięciu. I konferansjerką na organizowanych przeze mnie koncertach. A teraz, na niespełna trzy miesiące przed pierwszym Festiwałem Jazzowym w Sopocie, dodatkowo szefem, jak mnie Krzysztof zaczął natychmiast tytułować, jeszcze nieistniejącego Sekstetu Komedy.

Pierwszy Festiwal Jazzowy w Sopocie to był czas, kiedy jeszcze prowadziłam zespół Andrzeja Kurylewicza. Przyjechałam do miasta wcześniej, ponieważ nasz krakowski Jazz Klub pomagał przy organizacji koncertów. Kurylewicz z Wandą Warszawską dojechali sami, a ja w biurze festiwalowym musiałam załatwiać różne sprawy. Dla Sekstetu oczywiście bezpłatnie. Natomiast na moje miejsce w zespole Drażek i Pięciu zaproponowałam Ninę Furmanową i tak już zostało. Nauczyłam Inkę stawiać pierwsze kroki w organizacji koncertów oraz we wszystkich pozostałych sprawach impresaryjnych. Wspaniale sobie radziła. Zespół serdecznie ją polubił, a „Drażek” zakochał się w niej śmiertelnie. Chłopcy, czyli Sekstet Komedy, przyjechali bardzo stremowani. Byli debiutantami, smarkaczami w porównaniu z takimi wyjadaczami, jak na przykład zespół Wicharego.

Był 1956 rok. Lato. Upalne lato, a ja padałam ze zmęczenia. Prowadzenie dwóch zespołów to naprawdę ogromny wysiłek, zarówno fizyczny, jak i psychiczny. Nerwy. Ale to był czas jazzu, nasz czas! Z estrady salonu wystawienniczego sopockiego Biura Wystaw Artystycznych przemawiał na otwarcie Leopold Tyrmand. Porywająco... Przez całe miasto przeszedł korowód jazzmanów i jazzfanów, z wozem drabiniastym pełnym pięknych dziewczyn poprzebieranych w fantazyjne, poupinane przeze mnie prześcieradła. Artyści gdańskiego

teatrzyku studenckiego Bim-Bom w ramach zgrywy nieśli ponad głowami wielkie litery, z których poszczególne „U”, „A”, „P” i „D” układały się w trakcie marszu w różne konfiguracje, czterech ubranych w czarne koszule muzyków z Sekstetu Komedy dźwigało przypominającą trumnę skrzynię od wibrafonu Jurka Miliana. Na niej leżał niewielki słomkowy kapelusik, charakterystyczne nakrycie głowy muzyków nowoorleańskich. Przed tym ponurym, żegnającym jazz tradycyjny konduktem maszerowała „wdowa”, niosąc przed sobą poduszczkę z łączącymi na niej skrzyżowanymi pałeczkami perkusyjnymi. Towarzyszył nam w tym pochodzie spontaniczny, rozradowany i zaciiekawiony tłum przybyłych na tę okazję z całej Polski entuzjastów jazzu, wczasowiczów oraz mieszkańców Trójmiasta. Tysiące. Budynek BWA był tak obłożony przez szturmującą go publiczność, że organizatorzy wystawili na zewnątrz dodatkowe megafony, a powodzenie koncertów spowodowało takie zainteresowanie jazzem, że większość występujących zespołów zagrała szereg dodatkowych koncertów już po zakończeniu festiwalu.

W nocy przed koncertem Sekstetu długo, prawie do świtu, spacerowaliśmy po sopockim molo i zastanawialiśmy się, jak to wszystko się skończy... Zżerała nas trema. Przecież to pierwszy polski zespół jazzowy tworzący w stylu modern. Czy nie zanudzi słuchaczy? Czy wszystko się uda, a muzycy zagrają bez kiksów, najlepiej jak potrafią? Był z nami wtedy taki młody, przystojny chłopak, student kartografii czy też geodezji, czegoś związanego z ziemią. Niesłychanie sympatyczny, błyskotliwy, urokliwie się jękający. Gdzieś nas wypatrzył w czasie próby, zachwyił się naszą muzyką i przyłgął do nas; okazało się, że na stałe. – Nic się nie martwcie! – wyjąkał. – Ja jestem waszym pierwszym kibicem. Ja wam zrobię superklakę. Nawet jak was będą wygwizdywać i rzucać w was pomidorami, cokolwiek się zdarzy, no... to wtedy patrzcie na mnie. Ja będę siedział na ziemi przed pierwszym rzędem i będę krzyczał: bis!

Student nazywał się Jerzy Skolimowski.

Na szczęście jego klaka nie była nam specjalnie potrzebna. Przyjęto nas entuzjastycznie, wypadliśmy znakomicie. Moi chłopcy bardzo starannie przygotowali się do występu, zdając sobie sprawę, że będą wykonywali muzykę trudną i nowatorską, taką, jakiej jeszcze w kraju nikt do tej pory nie grał. Ja również... projektując i zamawiając w spółdzielni krawieckiej wyjątkowe jak na te czasy, tak myślę, a również nowatorskie, ponieważ nawiązujące do obowiązującego wśród nowoczesnej europejskiej młodzieży egzystencjalizmu, stroje. Czarne, bardzo wąskie, pasowane spodnie i czarne koszule ozdobione świecą satyną. Z szalowymi kołnierzymi i powiewającymi przy ruchach rąk luzackimi rękawami. Natomiast chłopców od „Kuryła” ubrałam w rudobrazowe, również dopasowane, uszyte na modłę jeansów z żaglowego płótna spodnie, a do tego czarne i szafirowe koszule. Absolutny przebój mody. Wśród pozostałych ubranych pod krawat i w lakierki zespołów wyglądaliśmy jak autentycznie amerykańscy awangardowi bojownicy wyzwolonej, internacjonalistycznej sztuki. Aż się bałam, że zaraz przyjedzie jakieś komando Milicji Obywatelskiej i zwinie ich do pierdła!

– Autografy... Jakie autografy?! – wzdrygnął się Krzysztof, kiedy po koncercie następnego dnia rano na sopockim Monciaku obległ nas tłum rozentuzjasmowanych jazzfanów. – Ciii... Podpisuj, przecież jesteście jazzmanami! – upomniął go szeptem Jurek Skolimowski.

Przed Sopotem Krzysztof specjalnie nie chciał rozgłaszać swoich jazzowych kontaktów, ze względu na klinikę i promującego jego medyczną karierę mentora, profesora Zakrzewskiego. Dopiero po koncercie i po ogromnym sukcesie, jaki tam odnieśli, sprawa się wydała i rozniosło się w tak zwanym poważnym środowisku, że to on jest tym Komedą. W jednej z gazet napisano: „Jazzowy Sekstet Komedy – doktora Krzysztofa Trzcńskiego”.

I tak to się zaczęło.

Delikatny smutek. To uczucie towarzyszy mi niemal zawsze, kiedy wracam nad morze, przejeżdżam przez gdańską Starówkę obok Żaka, następnie dworca kolejowego i dalej przez Trójmiasto aż do tego skrzyżowania w prawo, w dół, aby dojechać do ulicy Grunwaldzkiej, a następnie w lewo, do sopockiego Grand Hotelu. Tutaj mieszkała po wojnie przy ulicy Bolesława Chrobrego część mojej najbliższej rodziny, siostra mojej matki wraz z mężem i synem. Tutaj, praktycznie od pierwszego roku życia, spędzał całe lato mój syn, Tomek, a więc i ja bywałam regularnie, aby go odwiedzić. Tutaj postanowiliśmy z Krzysiem, że będziemy razem... Nie, nie narzeczeństwo, to już było staromodne, a poza tym byłam przecież po rozwodzie. Po prostu wiadomo było, że chcemy być razem i w końcu się pobierzemy. Ach... To śmieszne, Krzysztof robił podchody prawie przez rok, począwszy od czerwca 1956 roku, bo właśnie wtedy zaczęliśmy ze sobą chodzić. Oficjalnie, niczego nie ukrywając, bo i jak... W tym naszym ówczesnym, powiązanim ze sobą pracą i emocjami jazzowym środowisku? Przecież wystarczył jeden czuły gest, objęcie, przytulenie i już nam gratulowano. Tak, byliśmy jak bliska sobie rodzina. Pierwsze oświadczyły? Wieczorem, a właściwie nad ranem drugiego dnia pierwszego Festiwalu Jazzowego. Rozgorączkowani tym wszystkim, co nas spotkało, spacerowaliśmy do późna w nocy po sopockim moście. Dzieląc się obserwacjami oraz uwagami i popijając zdobyte, o ile pamiętam przez Jurka Skolimowskiego, taniutki wino. Przeżywając niewiarygodny sukces zespołu Komedy. A kiedy przyszło się żegnać, kiedy już świtało, Krzysztof zaproponował, że odprowadzi mnie plażą pod dom mojej cioci Ireny, siostry mojej mamy, gdzie nocowałam. No i pod klatką schodową to już nie tak łatwo było się żegnać, a on nagle tak cicho i spokojnie, jakby z namysłem zapytał: – A gdybym tak poprosił panią Barbarę o twoją rękę? Spoważniałam, ale po chwili parsknęłam śmiechem. – Krzysiu – spytałam, wskazując na narożne okna drugiego piętra – widzisz tę altankę? Malutka, przechodnia z pokoju mojej matki. Tam śpię razem z Tomkiem, a poza

tym jest już piąta rano... – Już piąta, co ty powiesz? – zdziwił się, rozglądając wokoło. – Rzeczywiście. No popatrz, ale się zagadaliśmy! Ale kiedy wrócimy do Krakowa...? Teraz to ja się zdziwiłam: – Do Krakowa? Przecież twoje walizki z ubraniami już od dwóch miesięcy stoją w moim mieszkaniu! I wtedy zaczął u mnie pomieszkiwać, ukrywając to przed swoją rodziną za każdym razem, kiedy przyjeżdżał do Krakowa. Czyli coraz częściej, dwa, trzy razy w miesiącu. Ale mojej matki o moją rękę nie poprosił... Nie zdążył. To ona, kiedy parę miesięcy później spotkali się przez przypadek na krakowskim AB, zapytała uprzejmie: – A więc panie doktorze, to jak, czy mogę się już przestać o Zosię niepokoić?

Sopot to również leniwe, powolne spacerowanie w tę i z powrotem po deptaku ulicy Bohaterów Monte Cassino, spacerowanie przerywane spotkaniami z coraz to innymi znajomymi i przyjaciółmi. To sopocka plaża, na której wszyscy po nocnych graniach odreagowywali, przysypiając w cieniu chybotliwych wiklinowych koszy. Popołudniowe, spożywane ze smakiem, bez pośpiechu obiady w SPATiF-ie oraz długie rozmowy przy kawie na werandzie Grand Hotelu.

I... teraz znowu cofnę się w czasie.

Właśnie tam, w rogu tej werandy przesiadywał samotnie Sławek Mrozek. Samotnie, ponieważ był z natury towarzyskim introwertykiem, a tutaj co chwilę ktoś wchodził, podchodził i chciał sobie choćby przez chwilę ot tak pogadać. Czyli plotkowanie na okrągło. Starał się więc po prostu nikogo nie zauważać. Czasami, kiedy na parę dni przyjeżdżał do Sopotu Marian Eile, siedzieli razem, tak podobni w tych swoich starannie dobranych do reszty ubioru marynarkach, z przewieszonymi przez oparcia krzesłek parasolami, w okularach, z fajkami i piórami wiecznymi w dłoniach, popatrując na leżące przed nimi na blatach kartki papieru czy też notatniki. Milcząc. Mnie zapraszali, bardzo się przecież lubiliśmy, ale dla mnie, mówiąc szczerze, to przesiadywanie było, owszem, sympatyczną, ale autentyczną gehenną. Ja, w milczeniu!?

Wczesną, bardzo mroźną zimą, na przełomie stycznia i lutego 1956 roku, kiedy przebywałam przez kilka tygodni w Sopocie, zwróciłam uwagę na dwóch innych trochę tajemniczych, a trochę śmiesznych facetów okupujących od rana stolik na werandzie w Grand Hotelu. Jeden kurnos, taki w ciemnych okularach, chociaż to była już zima i nie plaża, co wydawało mi się szalenie pretensjonalne. A drugi również niewysoki, przeciętnej, wydawałoby się nieciekawej postury i urody z garbatym, sporym nosem i nieodłączną fajką w dłoni. A ta fajka... Bardzo poważnie, można powiedzieć z namaszczaniem, ją palił, a przecież widać było na pierwszy rzut oka, że ani nie potrzebuje, ani nie potrafi. Że to wyłącznie dla fasonu. A do tego właściwie nieudolnie, partacko przystrzyżony na języka, ale nie była to taka szcztotka, jak u marszałka Piłsudskiego. O nie, ponieważ nie dość, że jużłysiał, to jeszcze włosy układały się w kompletnie nieprzewidywalnych kierunkach. Fajny, ale śmieszny. I oni w tej kawiarni całymi godzinami nic, tylko pili kolejne kawy i rozmawiali, zapisując coś na leżących przed nimi pomiętych karteluszkach. Dziwne. Patrzyłam na nich i myślałam: „Boże drogi! Jak można być takim nierobem?”. Bo ja mieszkałam tam od prawie miesiąca z zespołem Kurylewicza, w tym samym hotelu, i codziennie po południu podjeżdżał po nas autokar, którym jeździliśmy po całym Wybrzeżu, występując w różnych miejscowościach. Ale przedpołudnia miałam wolne, więc schodziłam z książką do tej przeszklonej werandy za hotelową restauracją i tak siadałam, aby kiedy uniosę wzrok, dostrzegać pejzaż za szybą. Mało jednak czytałam, patrzyłam na zamarznięte morze, wyciągnięte na piasek plaży oblodzone kutry rybackie i zachodzące słońce, które na zmrożonej, płaskiej jak lustrzana tafla powierzchni Bałtyku grało odbłaskami różu i purpury.

Któregoś wczesnego popołudnia, kiedy utulona tym spokojem zaczęłam przysypiać na siedząco, podszedł do mnie siedzący nieopodal Sławek Mrozek i zapytał: – Zosiu, a ty znowu siedzisz taka osamotniona. Co czytasz? Przerwij



ZOSIA W POZNANIU TUŻ PRZED PRZEPROWADZKĄ DO KRAKOWA.
WRZESIEŃ 1957 ROKU.

FOT. GRAŻYNA WYSZOMIRSKA

na chwilę, chciałbym cię przedstawić moim tutejszym kolegom. Podeszłam więc wraz ze Sławkiem do ich stolika, a że było to po co najmniej tygodniu obserwacji i byłam już poważnie tym ich bezczynnym siedzeniem podekscytowana, nawet się nie witając i nie czekając, aż mnie Sławek przedstawi, powiedziałam tym swoim zaczepnym tonem: – Nie chcę panom w tym waszym lenistwie przeszkadzać, ale... A oni do mnie: – Chwileczkę, proszę pani, ale jak to w lenistwie? – No... A jakże tak można całe dni przesiadywać i do tego nic nie robić! – Ależ my przecież, proszę pani, właśnie ciężko pracujemy! Zdziwiłam się. Jak można pracować w kawiarni? Lecz jak się okazało, można było, i to znakomicie. Byli to Zbyszek Cybulski i Bogumił Kobiela. Przygotowywali wraz z Mrożkiem nowy program dla Bim-Bomu. O ile pamiętam, nazywał się „Radość poważna” i miał premierę, na której byłam wraz ze Sławkiem 16 marca 1956 roku. W dniu pogrzebu Bolesława Bieruta. I tak poznałam Zbyszka Cybulskiego i Bobka, Bogumiła Kobielę.

Nasz pierwszy kibic Jurek Skolimowski cieszył się razem z nami z naszych sukcesów. A kiedy po pierwszym Festiwalu Jazzowym posypały się propozycje występów w wielu polskich miastach, ruszył z nami w trasę. Na nasze nieszczęście... Wszystkie sprawy omawialiśmy wtedy wspólnie, a Krzysio, człowiek mądry, przewidział pewien problem. I musieliśmy się z nim uporać. Chodziło o to, że gdy będziemy w większych miastach, gdzie publiczność jest bardziej wyrobiona, to nasze występy mogą być takimi, jakimi są. Ale gdy pojedziemy na prowincję? Ooo... ludzie tam mogą być nieprzygotowani do odbioru jazzu, musimy więc nasze występy jakoś uatrakcyjnić. A więc: zatrudnić oświetleniowca, żeby odpowiednim manipulowaniem światłem zaakcentował klimat utworu, solówkę, prezentację konferansjera. Czyli kogo? Czyli Skolimowskiego! Jurek ochoczo na to przystał.

- A znasz się na tym? – zapytałam go.
- A... ależ naturalnie! – wyjąkał. I pojechał z nami w trasę. Boże miłosierny! Co myśmy z nim mieli...

Już w trakcie pierwszego koncertu okazało się, że nie miał zielonego pojęcia o elektryczności. Ciągłe wkładał wtyczki nie tam, gdzie trzeba, wybuchaly tablice rozdzielcze, paliły się bezpieczniki, fajczyły wzmacniacze. A do tego uwielbiał kawały. Chcę wyjść zapowiadać na scenę, a tu okazuje się, że jestem przywiązana linką do scenicznej drabinki. Ja się szamocę, a „Skolim”, chichocze, zaciera ręce. Albo kiedyś w Filharmonii Łódzkiej... Było tylko jedno wyjście na scenę, przez wąskie drzwi. Ruszam, a w przejściu stoi olbrzymia miednica z wodą. I co teraz? Mam na oczach publiczności dźwigać ją, przesuwac? Więc musiałam wejść do lodowatej wody i jak gdyby nigdy nic, uśmiechnięta i rozpromieniona, poczłapać w lakierowanych, złotych szpilkach na estradę, pozostawiając za sobą mokre plamy.

„Skolim” wykazywał niepoahamowaną ochotę do nauki gry na instrumentach. Na jakimkolwiek instrumencie. Były o to z muzykami wieczne wojny. A to Jankowi Zylberowi walił w bębny, w te jego wychuchane, chronione i hołubione skóry, nie do kupienia w Polsce. To znowu dmuchał Ptaszynowi w saksofon, albo szarpał Józiewi kontrabas, czy rozstrajał właśnie nastrojony fortepian, czym Krzysia doprowadzał do łez. No i regularnie po każdym koncercie, w hotelu, chłopcy urządzali na niego polowanie. Gonili go po korytarzach, łapali, zawijali w koc i były tak zwane „bitki à la Skolimow”, czyli tłukli go. Następnego dnia „Skolim” i tak wymyślał coś nowego.

Naprawdę ważne dla „Skolima” było co innego: pilnował, wyklócając się ze mną, by jego nazwisko w programie i na afiszach było co najmniej równej wielkości co nazwiska muzyków. I abym, broń Boże, nie pominęła w zapowiedzi scenicznej jego jakże ważnej osoby. Chodził potem z tym afiszem, wystającym z kieszeni i tak sprytnie złożonym, żeby tylko było widać: „Sekstet Komedy – efekty świetlne – Jerzy Skolimowski”. Zmięty był ten afisz, poszarpany, ale wiecznie go nosił. Nasz Maestro „Skolim”.

Był niebywale skąpy. Do tego stopnia, że gdy na przykład szliśmy na obiad, oczywiście wszyscy razem i każdy coś tam sobie zamawiał – powiedzmy jeden kotlet schabowy, drugi sznyceł, a trzeci bryzol – to Jurek zawsze zamawiał: – Bbukiet z jarzyn iii... ziemniaki. A potem było słycać przy stole: – D-daj ugryźć, nno, t-tylko spróbować... I w ten oto sposób zjadał więcej mięsa niż każdy z nas. I oczywiście nie ponosił żadnych kosztów. Kutwa. A przecież dochody dzieliliśmy równo i Skolimowski brał dokładnie tyle samo, co Komeda. Dzięki temu zyskał sobie nowe przezwisko: „Daj ugryźć”.

„Cyrkówka, Cyganka, jazzmanka, strup rodziny!” Tak napisał do mnie mój brat Stefan, gdy dowiedział się, że jako impresario i konferansjer używam na plakatach panińskiego nazwiska Tittenbrun. Nie mógł mi tego darować. Matka również. Uważała, że to degradacja związanej z nazwiskiem pozycji społecznej. A przecież „w tym naszym kochanym socjalizmie wszystkim po równo gówno!” – jak to kiedyś podsumował publicznie w Piwnicy pod Baranami (dobrze, że po zakończeniu spektaklu) Wiesio Dymny.

Ja całe życie słycałam tylko wieczne pretensje. Jak nosiłam koński ogon, to były wymówki typu: „A kto to widział, aby tak wiązać takie piękne włosy?”. Jak włożyłam spodnie – zgroza. Kiedy już wszystkie kobiety zaczęły je nosić, to były zastrzeżenia, że czerwone! I tak w kółko. Zawsze było coś nie tak, coś nie w porządku! Czasami matka próbowała łagodzić: – Zrozumcie, Zosia już taka jest, ona wyprzedza modę. Tak, tu miała rację. Taką mam naturę. Być może dlatego przylgnęłam całą duszą do Krakowa, który stał się dla mnie prawdziwym domem. Tam, pośród tych wszystkich wspaniałych ludzi, czułam się najlepiej. Tam, poprzez pracę w Jazz Klubie, w sposób naturalny, jakby niepostrzeżenie, instynktownie przeniosłam swoje zainteresowania i pasje na płaszczyznę muzyki i sztuki. Cieszyłam się życiem, byłam autentycznie szczęśliwa.